

Śmiech wdowy

Kiedyś udzieliłam wywiadu w telewizji. Potem czytałam komentarze w internecie: „Jak wdowa może mieć taką krótką spódnicę? Jak wdowa może tak dobrze wyglądać? Jak wdowa może się śmiać?!”. Wdowa ma tylko płakać

Z Olgą Morawską,
założycielką fundacji
Nagle Sami, rozmawia
Łukasz Długowski
Zdjęcia
Maciej Zienkiewicz

W Polsce mamy około 12 tys. fundacji. Właśnie zakładasz kolejną - Nagle Sami. Po co?

Nagle zostałam wdową, mój mąż zginął w Himalajach. Po zakończeniu żałoby pomyślałam, że chciałabym pomóc tym, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Codziennie ktoś kogoś traci, a nie ma w Polsce organizacji, które oferowałyby takim ludziom pomoc psychologiczną, prawną. Dzięki temu, że podzielię się doświadczeniami, inni nie będą musieli wyważać otwartych drzwi.

Jak chcesz się dzielić?

Dopiero zaczynamy działalność, ale już można się zapisywać do udziału w grupie wsparcia dla osób w żałobie lub dla osób towarzyszących, czyli rodziny, przyjaciół, znajomych. Będą również zajęcia indywidualne - terapia dla tych, którzy z żalobą sobie nie radzą lub kiedyś nie poradzili. Terapia będzie częściowo odpłatna - albo w formie finansowej, albo pracy na rzecz fundacji. Ale grupy wsparcia oraz wszystkie zajęcia dla dzieci w żałobie są darmowe. Zaczynamy w Warszawie, z czasem chcemy działać w całej Polsce.

Kto tworzy fundację?

Trzon to ja i moje dwie koleżanki, jedna jest wdową. Kolejne dwie osoby intensywnie nas wspomagają, a 12-15 współpracuje. Wszyscy pracujemy na zasadach wolontariatu, ale każdy musi z czegoś żyć, więc później będziemy pracowników zatrudniać i im płacić. Tylko musimy na to wszystko zarobić.

Chcecie też robić szkolenia dla firm i urzędów. Oferować pomoc prawną.

Szkolenia mają na celu uwrażliwić, a także dawać działom HR gotowe rozwiązania, jak

radzić sobie z sytuacją utraty także w środowisku zawodowym, no i będą dla fundacji szansą zarobkowania. A co do pomocy prawnej: jest wiele spraw, które trzeba załatwić po śmierci bliskiej osoby - spadek, rentę, musisz wypełnić różne druki. Dobrze jest wtedy mieć kogoś, kto uspokoi i podpowie, jak to wszystko zrobić.

Czy to nie jest rola rodziny?

Rodzina też przeżywa żalobę. Musi znaleźć się w niej ktoś silny, kto sobie odpuści i zajmie się tobą. Ale często nie ma nikogo takiego, bo wszyscy doświadczają żaloby. Śmierć to wydarzenie rodzinne. Moja rodzina mnie wspomagała, ale w pewnym momencie słyszysz uwagi: „Ile można na ten sam temat?”. Moja mama w pewnym momencie powiedziała mi: „Co ja mogę ci powiedzieć o życiu, skoro przeżyłaś więcej niż ja?”. Czasami nie chcesz już obciążać innych sobą. Łatwiej jest poprosić o pomoc z zewnątrz. Rodzina sprawdzi się przy formalnościach i drobnej pomocy, ale nie w terapii. Nie wszyscy zresztą mają mocne rodziny.

Na przyszły rok planujesz kampanię społeczną, która ma odczarować wizerunek wdowców.

Jedna z największych agencji reklamowych w Polsce przygotowuje kampanię, która ma pokazać, że osoby po stracie są w społeczeństwie i że to są normalni ludzie. Chcemy zrobić coś, co będzie oryginalne, interaktywne i niespodziewane. Coś, co wybije ludzi z rytmu.

Na kim będziecie się wzorować?

Na nikim. W Polsce co roku ponad 100 tys. rodzin w nagły sposób traci bliskich, ale nie ma żadnego systemu, który by im pomógł.



Jakiego systemu?

Opracowanego systemu pomocy, chociażby w postaci broszury informacyjnej rozdawanej w urzędach, w której przeczytasz, gdzie się udać, co po kolei zrobić albo jak ubiegać się o rentę rodzinną. Żałobnik najczęściej funkcjonuje fatalnie, ale pomimo to musi dużo załatwić. A nawet te najprostsze – ze względu na stan, w którym się znajduje – mogą sprawiać kłopot. Dlatego chcemy stworzyć informator w wersji papierowej i internetowej, który będzie można pobrać z naszej strony (naglesami.org.pl) albo dostać w ZUS-ie lub urzędzie skarbowym.

Czy państwo zadziało w twoim przypadku?

Słabo. Początkowo myślałam, że to może wynikać z mojej specyficznej sytuacji – Piotrek zginął w Himalajach. Po jego śmierci okazało się, że naszym synom nie przysługuje renta zusowska. Mimo że Piotrek studiował dziennie, a później robił doktorat i pracował jako adiunkt na uczelni, nie przepracował pięciu pełnych lat. A to jest wymóg ZUS-u, by przyznać rentę. Po półtora roku udało mi się wywalczyć dla chłopców pięcioletnią rentę specjalną przyznaną przez premiera. Piotrek został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi dla kraju i to była podstawa jej przyznania. Myślałam, że takie problemy dotyczą tylko mnie, ale kiedy wydałam pierwszą książkę – „Od początku do końca” [historia o miłości i o tym, ile kosztuje życie z człowiekiem z pasją] – zaczęły do mnie pisać inne wdowy. Pytałam, czy w ich wypadku państwo zadziało. Okazało się, że nie. Jedyne systemy pomocy, który istnieje, to system interwencyjny – dzwonicz do miejskiego ośrodka pomocy i mówisz, że jesteś w fatalnym stanie psychicznym. I oni ci wysyłają psychologa, żeby z tobą porozmawiał, i doradzają ci, gdzie ewentualnie masz dalej szukać pomocy.

Czego chcesz więcej?

Chociażby przychylności. Partner mojej koleżanki zmarł 31 grudnia. W związku z tym ZUS, obliczając rentę dla jego dzieci, nie wziął pod uwagę składek za ostatnie 12 miesięcy, ponieważ dla urzędu liczy się pełny przepracowany rok. Suche trzymanie się przepisów. Moja przyjaciółka wytoczyła im proces. Po półtora roku wygrała. A wystarczyło trochę normalności i ludzkiego podejścia. Chodzi też o to, żeby człowiek, który traci bliskiego, nie czuł, że zostaje sam. Można mu to poczucie zapewnić, na przykład oferując pomoc w postaci stypendiów, pomocy psychologicznej dla dzieci albo chociażby bezpłatnego wyżywienia w szkole czy przedszkolu. Małe rzeczy, które pomogłyby nam w życiu.

Poczułam ulgę, że już nie muszę się bać, że Piotrek zginie. Bo zawsze się bałam, że to się kiedyś wydarzy



Co państwo robi poza pomocą doraźną?

Cała pomoc państwa polega na tym, że możesz dostać zasiłek rodzinny – od listopada tego roku na dziecko powyżej pięciu lat dostaniesz 106 zł. Z tym że dochód na osobę w rodzinie nie może przekraczać 539 zł. Musiałabym zarabiać 1,6 tys. zł brutto, a państwowe przedszkole w Warszawie kosztuje mnie około 600 zł miesięcznie. To jest system, który pomaga wyłącznie w skrajnych przypadkach.

Możesz jeszcze starać się o rentę rodzinną na dzieci. Jeśli masz to szczęście i spełniasz warunki, możesz dostać 85-95 proc. tego, co przysługiwałoby zmarłemu, gdyby poszedł na rentę. Ale jest warunek przepracowania tych pięciu pełnych lat. W naszym przypadku zabrakło kilku miesięcy. I to jest chyba najstraszniejsze – znajdujesz się w najtrudniejszej z ludzkich sytuacji, ale nie spotykasz się z żadnym ludzkim, przychylnym podejściem.

Naprawdę żadnym?

Porównując to, co usłyszałam od innych wdów, miałam jednak trochę farta. Spotkałam

bardzo fajnych urzędników, którzy byli empatyczni, wyrozumiali i cierpliwi. Co nie musi być wcale łatwe, bo na przykład kiedy masz wpisać w rubrykę nazwę swojego auta, nagle zaczynasz płakać, bo ono kojarzy ci się z mężem. A ja spotkałam się ze spokojem ze strony urzędników. Dopelnienie tych wszystkich formalności – gdzie pójść, co załatwić, co wypełnić – powinno być jak najmniej opresyjne.

Ostatnio byłam w urzędzie na Ursynowie, żeby odebrać akt zgonu męża. Po trzech latach od jego śmierci jestem już w dobrym stanie psychicznym, więc strasznie się tym nie przejęłam, ale jakbym tam poszła tuż po śmierci Piotrka, to się bym zdziwiła.

(Olga pokazuje zdjęcie maszyny do pobierania numerków, na której jest napisane: Noworodki. Zgony. Matżeństwa).

„Zgony – liczba oczekujących: zero”! I właśnie o to mi chodzi – totalny brak zrozumienia, delikatności. To najpewniej nie wynika z tego, że ktoś chciał źle. Raczej z tego, że nikt nie potrafił się w tym odnaleźć i zachować.

To jak powinny być oznaczone maszyny? Może za dużo wymagasz?

„Zgony – liczba oczekujących: zero” dla mnie brzmi humorystycznie. Nikt przecież nie oczekuje na zgon! Wystarczy, żeby było napisane: „Akty zgonu” czy „Dokumenty związane ze zgonem”. Należałoby też zmienić hasło „noworodki” na „akty urodzenia”. Ktoś użył nomenklatury, którą na co dzień pewnie posługują się między sobą urzędnicy, i przeziósł ją na kontakty z petentami. Można to zmienić niewielkim wysiłkiem. Tak żeby było przyjemniej i dla oka, i dla samopoczucia. Nie chcę stawiać nie wiadomo jakich wymagań, ale sugerować uwrażliwienie.

Kiedy wydarzyła się katastrofa w Smoleńsku, miałam wrażenie, że zmieni się oblicze naszego kraju w sferze emocjonalnej. Myślałam, że pokazanie śmierci i ludzi, którzy cierpią, spowoduje, że zaczniesz się rozmawiać o śmierci. Że ludzie dostrzegą, jak bardzo ciężkim przeżyciem jest żałoba, jak trudno przez nią przejść, ale też – że po jej przeżyciu jest nowe życie. Ale ta katastrofa niczego nie zmieniła. Nie rozmawia się o tragediach tych ludzi. Niestety, nie wygrała wrażliwość. Mamy za to przykrą rozgrywkę polityczną. Wszystko zostało zdeptane, i śmierć, i cierpienie tych lu-

dzi. Zmarnowaliśmy potencjał społecznego uwrażliwienia.

Możliwe, że ktoś, kto nie przeżył śmierci bliskiej osoby, nie potrafi się wczuć w tę sytuację.

Smutne jest nie to, że nie umie, ale to, że nawet nie chce i nie próbuje tego zrobić. Żaloba trwa około roku, dość długo dla ludzi z zewnątrz, więc sporo osób chce uciec od tych ciągłych, niekończących się problemów. Wdowy są izolowane, często nie zaprasza się ich na imprezy, bo raz – będzie smutno, dwa – nie wiadomo, jak się zachować. Ludzie mnie nie zapraszali, bo się tego obawali, a może nie zapraszali, bo myśleli, że nie wypada? Ale człowiek nawet w żałobie w końcu też chce wyjść i pożyć z ludźmi!

Czy czasem nie tylko wdowy, ale w ogóle kobiety samotne nie są traktowane jako zagrożenie dla związków?

Przez długi czas myślałam, że to kompletna głupota, ale z błędu wyprowadziły mnie koleżanki i teraz myślę, że tak rzeczywiście jest. Fajnych facetów jest mało, więc zasoby są ograniczone. Po co ryzykować?

Zabawne, że gdy jestem zapraszana na wesele, to nigdy z osobą towarzyszącą. Oczywiście jest to, że wdowa będzie wiecznie sama.

Czujesz się samotna?

Czuję się niezrozumiana. Zdarza się, że to, kim jestem i co przeżyłam, odstrasza ode mnie ludzi. Za każdym razem, kiedy ktoś się dowiadyje, jaką mam historię, pojawia się chwila wahania: czy ze mną jest wszystko OK? Jak ze mną rozmawiać? To jest bardzo denerwujące. A ja potrzebuję normalności. Akceptacji. Tego, żeby ludzie nie udawali, że nie wiedzą, co się stało, i żeby nie brali za dziwaka, którego trzeba specjalnie traktować.

Robię fajne rzeczy, czuję się spełniona, ale też elementem mojego życia jest samotność,

której nie traktuję jako opresji. Chciałabym być z kimś fajnym, ale skoro tak nie jest, to nie. Ludzie traktują samotność jako coś negatywnego, ale dla mnie ona nie jest traumą. Samotność w jakimś stopniu wpływa na moje życie, ale nie jest determinująca, nie jest to główny element mojego życia. Mam życie takie, jakie mam, ale jest to dobre życie. Poza tym z masą ludzi się spotykam – praca, szkoła, przedszkole. Jestem bardzo towarzyskim człowiekiem.

Jak zginął twój mąż?

Piotrek pojechał na wyprawę zdobywać dwa ośmiotysięczniki Dhaulagiri i Manaslu w Nepalu. Na pierwszym z nich miał się zaaklimatyzować, czyli przygotować organizm do zmiany wysokości. Tę pierwszą część traktowałam jako obóz szkoleniowy na Mazurach, to było coś naprawdę łatwego. Ale podczas zejścia do bazy zapadł się pod nim most śnieżny i wpadł do szczeliny. Miał o tyle szczęście, że w pobliżu była wyprawa polskich TOPR-owców, a wśród nich lekarz, przyjaciel Piotra. Wyciągnęli go ze szczeliny, ale nie udało się go uratować. Zmarł z wychłodzenia albo z powodu wewnętrznych obrażeń. Wtedy moje życie, życie żony himalaisty się skończyło.

Powiedziałas w radiu, że poczułaś wtedy ulgę.

Poczułam ulgę, że już nie muszę się bać, że Piotrek zginie. Wtedy dotarło do mnie, że tak strasznie się bałam, że to kiedyś się wydarzy. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak mnie to niszczyło. Kiedy to się stało, nie musiałam się już bać, ale nie chciałam też już żyć, wydawało mi się, że wszystko, co miało sens, się skończyło. Ale musiałam stanąć przed żalobą i przed życiem samemu. Bez człowieka, który był dla mnie bardzo ważny. Musiałam temu sprostać albo polec. I chciałam polec. Tylko jak masz dwójkę dzieci, to nie bardzo możesz sobie na to pozwolić.

Miałaś wyrzuty sumienia, że żyjesz?

Chciałam się zamienić. Przez jakiś czas myślałam, że jakby przyszedł diabeł i można było z nim zawrzeć pakt, to oddałabym swoje życie, żeby Piotrek mógł żyć. Bo on utalentowany, fajny. Mając 28 lat, zrobił doktorat z chemii fizycznej, zaczął pracę jako adiunkt na Politechnice Warszawskiej. Przez długi czas zresztą wiązał duże nadzieje z pracą naukową. Kiedy zaczynał działać w Himalajach, wśród polskich wypraw trwała posucha. Miał talent – wspólnie z Włochem Simone Moro w 2005 roku jako pierwszy w historii weszli zimą na Sziszapangmę, ośmiotysięcznik w Tybecie. Kiedy niewielu interesowało się himalaizmem, on potrafił zorganizować sponsorów i zapewnić sobie finansowanie wypraw. Jak zaczął biegać maratony, robił to poniżej trzech godzin. Świetnie pisał, publikował felietony, wiersze i opowiadania. Czegokolwiek by się tknęła, robił to naprawdę dobrze. Strasznie mi było żal, że nie może tego kontynuować.

Jak powiedziałaś o śmierci Piotra synom?

Tego samego dnia przyszedłam do domu, przytuliłam ich obu – jeden miał dwa lata, drugi trzy. Powiedziałam im, że tata umarł i nigdy już nas nie przytuli, ale zawsze będzie z nami. Z czasem zaczęli pytać, o co chodzi z tą śmiercią, co dla mnie było koszmarem. Jeszcze do tego Piotrek zginął w Wielką Środę, wtedy, gdy dookoła masz opowieści o krzyżu i Zmartwychwstaniu. A ty wiesz, że ono dla ciebie się nie wydarzy.

Jak chłopcy to przeżywali?

Zaskoczył mnie mój młodszy syn, który właśnie zaczął mówić. Przez trzy miesiące od śmierci Piotra nie powiedział na jego temat nic. Kiedyś odwoziłam go do moich rodziców, co robiliśmy regularnie raz w tygodniu także za życia Piotra. Zawsze jak wracaliśmy, mówiłam

Seria zeszytów co środę z „Gazetą”

PREZENT

Jamie Oliver

Kulinarne wyprawy Jamiego

➤ HISPANIA ➤ SZWECJA ➤ GRECJA ➤ FRANCJA



W środę
Zeszyt 2.
Szwecja

Łatwe przepisy
inspirowane
podróżami
po świecie

gazeta

do Gutka, już w samochodzie: „I teraz jedziemy do taty”. Tym razem wsiedliśmy do samochodu, ale nie powiedziałam tego ostatniego zdania. Dopowiedział je Gutek: „I co, jedziemy do taty?”. Od tej chwili zaczął mówić o Piotru. Okazało się, że potrzebował trzech miesięcy, żeby w tym swoim małym serduszku i głowie wszystko przetrawić.

Poszłaś z chłopcami do psychologa?

Przerabiałam z nimi to sama. Ale rozmawiałam z psychologiem, wspólnie analizowaliśmy ich zachowania, a ja na bieżąco obserwowałam ich obu. Byłam też otwarta na ich pytania, nie było takich, na które nie odpowiedziałam. Nie mówiłam też: „Nie pytajcie”. To były bardzo różne i trudne kwestie. Ale mimo to postanowiłam na nie odpowiadać, nawet jeśli mnie bardzo bolało. Sporo rozmawiałam i rozmawiam z ludźmi, którzy mają do czynienia z moimi synami, tak, żeby poszerzali mi ich obraz i ewentualnie alarmowali, że coś jest nie tak. Myślę, że podstawą jest rozmowa właśnie. To, żeby dzieci mogły czuć się bezpiecznie, miały świadomość, że mogą pytać, mieć żal, czuć brak. Ważne jest to, że przeszliśmy tę całą ścieżkę wspólnie, dużo rozmawiając. Bardzo często jednak tego się nie robi, o czym mówiły mi inne wdowy. Nie miały złych intencji, ale albo nie miały siły tego zrobić, albo nie wiedziały, gdzie prosić o radę, jak się do tego zabrać.

Gdy w wieku dziesięciu lat straciłem ojca, najbardziej bolało mnie, jak słyszałam: „Musisz dorosnąć”.

Może to problem wynikający z tych wszystkich naszych powstań? Tego, że wtedy mali chłopcy zostawali głowami rodzin albo żołnierzami? Ale nie można małego dziecka obciążać tak wielkimi sprawami! Nie można obciążać go sobą. Bałam się tego, że jeśli nie znajdę dla siebie żadnego miejsca w tym nowym życiu, to będę wszystko przerzucała na chłopców.

Czego jeszcze się bałaś?

Jak już ustaliliśmy, to, czego się bałam najbardziej, już się stało. Ja byłam pewna, że nie dam sobie rady. To nie był strach, ale pewność, że moje życie nie ma sensu, że sobie nie poradzę i rozwałę się na kawałki. Nawet miałam taką nadzieję, że zaraz zakończy się to cierpienie i mnie nie będzie. Ale po jakimś czasie zaczęłam zauważać, że dają radę. Zawsze jest tak, że jak trudne wydarzenia mają miejsce, trzeba po prostu stanąć na nogi i jakoś sobie poradzić. Albo przynajmniej próbować. I jak to zrobisz, zczynasz siebie doceniać choćby za to, że spróbowałeś. Więc następnego dnia też próbujesz.

Jak zachowali się znajomi?

Jak zawsze w życiu część ludzi jest na lepsze czasy, część na gorsze. Część potrafi pomóc

Śmierć Piotrka, a po roku zwolnienie z firmy całkowicie zniszczyły moje poczucie bezpieczeństwa. Nie wiem, jak to wytrzymałam

w takich momentach, a część nie. Oczywiście niektórzy odeszli. Ale nie byli to przyjaciele, tylko znajomi. Najważniejsze jest to, że sprawdzili się ci, którzy mieli się sprawdzić.

Co zrobiłaś, kiedy się otrząsnęłaś z pierwszego szoku po śmierci Piotrka?

Pojechałam pożegnać się z nim do Nepalu. Jego ciało zgodnie z moją wolą zostało pochowane w szczelinie lodowej. Mogłam tam nie wytrzymać albo rzeczywiście sobie pomóc. Ostatecznie ten wyjazd mi pomógł, bo spotkałam dużo interesujących osób. Każdemu opowiadałam o swojej sytuacji i ci ludzie pochodzący z różnych plemion odpowiadali mi: „Słuchaj, ale on przecież żyje, tylko jest gdzieś indziej”. Dawało mi to trochę spokoju. Jestem osobą wierzącą. Ale dopiero tam poczułam realność tego, że ludzie, ich dusze są gdzie indziej. Tam było to rzeczywiste, namacalne. Oni w to silnie wierzyli, dla nich to było naturalne i wtedy dla mnie też stało się prawdziwe. Gdy w Polsce rozmawiałam o śmierci i zmartwychwstaniu z księdzem, to była rozmowa z człowiekiem wykształconym. A oni byli prostymi ludźmi, dla których wiara to nie filozofia, tylko życie. Spotkałam też dwóch Gurkhów, byłych żołnierzy w armii brytyjskiej, którzy powiedzieli coś, co mnie wtedy postawiło na nogi: „Słuchaj, Olga, to, że Piotrek nie żyje, nie jest żadnym powodem, żebyś ty zmarnowała swoje życie”. Coś mi wtedy przeskoczyło w głowie i pokazało, że trzeba zobaczyć, co jest dalej.

I co było dalej?

Rok po powrocie z Nepalu zostałam zwolniona z pracy. Na krótko przedtem myślałam, że stanęłam na nogi. Nawet wygłosiłam taką sentencję do mojej mamy: „Mamo, wydaje mi się, że już najtrudniejsze za mną”. Ten dyptyk: w jednym roku śmierć Piotrka, w drugim – zwolnienie z firmy, gdzie byłam dyrektorem marketingu, całkowicie zniszczył moje poczucie bezpieczeństwa. Teraz jak na to patrzę, nie wiem, jakim cudem to wytrzymałam.

No więc jakim?

Napisałam drugą książkę – „Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu”, podróżowałam z dziećmi, wydałam kilka przewodników, stworzyłam Memorial im. Piotrka Morawskiego. Czasem myślę, że bywa to źle odbierane. Wy-

daje mi się, że panuje przekonanie, że wdowy powinny być w cieniu. Nie powinny robić rzeczy, które widać. Najlepiej, gdyby siedziały na kanapie i płakały. Nikt nigdy mi tego otwarcie nie powiedział, ale myślę, że ludziom wydaje się, że jak coś robisz, pracujesz, to nie cierpisz. Ale to bzdura. Działanie to jedna kategoria, a cierpienie – inna.

Spotkałaś się z krytyką tego, co robisz?

Kiedyś udzieliłam wywiadu Szymonowi Hołowni w ramach cyklu „Ludzie na walizkach”. Po emisji TVN powiesił to na Onecie. Potem mogłam sobie poczytać komentarze z cyklu: „Jak wdowa może mieć taką krótką spódnicę?” (A miałam do kolan). „Jak wdowa może tak dobrze wyglądać? Jak wdowa może się śmiać?!”. Wdowa nie może się śmiać, powinna już tylko płakać. Funkcja ze śmiechem powinna być natychmiast wymontowana.

Dlaczego skazujemy wdowy i wdowców na wieczną żalobę?

Spółeczeństwo chyba nie bardzo chce dać osobom takim jak ja szansę na to, żeby znowu normalnie żyć. Według społeczeństwa my już mieliśmy życie. Była miłość, tragedia i wystarczy. Życie się skończyło.

Ale np. rozwodnikom, którzy chcą zacząć życie od nowa, chyba jest łatwiej?

Istnieje społeczna zgoda na to, żeby rozwodnicy ułożyli sobie życie. Co więcej, oni nie mogą, ale muszą, bo ponieśli porażkę. Wdowcy nie ponieśli porażki. Wdowców spotkało coś dziwnego. Coś nieokreślonego. Coś, czego nie potrafimy i nie chcemy nazwać. W związku z tym niech sobie siedzą na marginesie.

Twoja druga książka – „Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu” – to seria wywiadów z rodzinami himalaistów. Często wdowami.

To siedem z dziesięciu wywiadów.

Ile rodzin poradziło sobie z tym, co je spotkało?

Ci młodzi chyba sobie poradzili. Wojtek Kucuczka miał pięć lat, kiedy zginął jego ojciec. Jadąc na wywiad, myślałam, że on mi pokaże, jak za 20 lat będą cierpieć moje dzieci. A on powiedział: „Nie, ja nie cierpię. Nie pamiętam ojca”. Nie miał żalu. Rozumiał, że zginął, robiąc coś, co kochał. To mnie zaskoczyło.

Oczekiwałaś, że nadal będzie w żalobie.

Nie. Chodziło mi o to, że zobaczę człowieka, który opowie mi o tym, jak to jest, gdy ktoś traci ojca. Że to życie jest uboższe, trudniejsze, że ma żal do niego. Bo gdyby ojciec nie miał takiej pasji, życie Wojtka wyglądałoby inaczej. Ale on sobie z tą żalobą dobrze poradził. Dał mi natchnienie, że to nie musi być traumą dla moich dzieci.

Jakie były konsekwencje dla tych, którzy sobie nie poradzili?

Samotność. Koszmarna samotność. Te kobiety mówiły: „My sobie nie ułożyłyśmy życia, bo cierpiałymy. Także w imię społecznego przyzwolenia. Nawet nakazu, bo oni zginęli bohaterko”. I wszystkie te kobiety, z którymi rozmawiałam, faceci też, mówili: „Olgo, ulóż sobie życie, nie możesz zostać sama”.

Co teraz jest dla Ciebie najważniejsze?

Dzieciaki, to oczywiste. Ale z rzeczy, które robię, to fundacja. Czasami wściekam się, że jest z tym tyle pracy. To jest rzecz, którą codziennie muszę się zajmować, opracowywać formularze szkoleniowe, pracować nad stroną internetową, pozyskiwać darczyńców. Każdego dnia muszę coś zrobić, żeby w końcu zobaczyć efekt. Życie po brzegi wypełnia mi jeszcze pra-

ca zarobkowa w Agencji Filmowej TVP. W międzyczasie staram się pisać, pracuję nad powieścią. I to, co mnie strasznie denerwuje, to fakt, że robiąc tyle rzeczy naraz, nie mam czasu, żeby spokojnie usiąść i oddać się pisaniu, które tak bardzo lubię.

Jesteś szczęśliwa w tym nowym życiu?

Jestem szczęśliwa, chociaż to życie bardzo mnie zaskoczyło. Gdybyś mnie kiedyś zapytał, jak wyobrażam sobie przyszłość i to, co mi da szczęście, nie odpowiedziałabym, że to, co robię teraz. Z jednej strony praca w Telewizji Polskiej, z drugiej strony książki, z trzeciej – fundacja, Memorial Piotrka, dzieciaki. Patchworkowo połączone. Myślałam, że moje życie będzie wyglądało inaczej. Jestem wychowana w dość tradycyjnej rodzinie i spodziewałam się, że powieleż ten schemat i tylko to da mi spokój i poczucie bezpieczeństwa. Żyję zupełnie inaczej. Jestem szczęśliwa, choć czekam – jak każda księżniczka wychowana na bajkach – na księcia na białym koniu.

Wydaje ci się, że można równocześnie kochać osobę, która odeszła, i tę, która pojawia się w nowym życiu?

Myślę, że o tym właśnie jest moja nowa książka. Wiesz, rozwód jest o tyle obrzydliwy, że musisz zdeptać tę drugą osobę. Miłość się kończy. A tutaj jest wielki plus – ta miłość może zostać w kawałku Ciebie na zawsze. Jednocześnie jest w Tobie miejsce na następne uczucie. To jak z dziećmi – kochasz je niezależnie od tego, czy masz jedno, czy ośmioro. Może to jest trudniejsze dla ludzi, którzy mają się pojawić w życiu tak doświadczonych osób? Może źle się czują z tym, że ta osoba była z kimś, kto jest nadal ważny?

Wiem jedno: fajnie jest móc zakończyć żałobę i iść dalej. Wrócić do społeczeństwa. Ja chyba już zupełnie do niego wróciłam. ■



Olga Morawska będzie gościem Ewy Podolskiej w sobotę o godz. 15 w Radiu TOK FM

R E K L A M A

KÉRASTASE
PARIS

Olejki Grand Crus
Najbardziej zmysłowa
pielęgnacja Kérastase



ELIXIR ULTIME

SMACIA OLEJKÓW DLA PIĘKNA
I WYCIWŁOSÓW

Legendarny **Oléo-Complexe** w połączeniu z cennymi ekstraktami, tworzy wyjątkowe eliksiry w odpowiedzi na różne potrzeby włosów cienkich i owrzodzonych, łobionych oraz koloryzowanych.

DZIAŁ ZAAWANSOWANYCH
BADAN I COREAL

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W SALONACH FRYZJERSKICH

Znajdź swój salon na www.kerastase.com,
Inicjacja 801 100 100 (opłata – jeden impuls + VAT)